

ANNA  
**KANTOCH**  
**JESIEN**  
ZAPOMNIANYCH

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Kańtoch

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

## PROLOG

Niewiele osób ucieszyłoby się na widok huty Uthemann, ale Karol Fiszel był jedną z nich. Stojąc przy oknie pociągu relacji Kraków–Katowice, patrzył na rozległy kompleks budynków i dziedzięć kominów wypuszczających w niebo kłęby czarnego dymu. Policzył je odruchowo, tak jak robił zawsze w dzieciństwie.

Wracam do domu, pomyślał.

Dziewczyna, która jechała z nim od Krakowa, wysiadła w Mysłowicach – pozostało mu po niej wspomnienie rozwichrzonych ciemnych włosów i zielonych oczu. Miała na imię Magda, niedawno skończyła liceum i pracowała jako telefonistka na poczcie. Przez całą drogę zasypywała go pytaniami, a na koniec dała karteczkę ze swoim adresem. Może do niej napisze, może nie. Jeszcze tego nie wiedział. Przyszłość rozciągała się przed nim jak dziki, niezbadany teren z książek podróźniczych, które czytał w dzieciństwie.

Pytania Magdy wciąż brzmiały mu w uszach, gdy pociąg zbliżał się do stacji Katowice-Szopienice Południowe.

- Czemu przerwałeś studia? Nie radziłeś sobie?
- Radziłem, ale nie interesowały mnie aż tak bardzo.
- I co zrobiłeś potem?

– Musiałem pójść do wojska.

– Miałeś do wyboru studia albo wojsko i wybrałeś to drugie? Naprawdę? Wszyscy chłopcy, których znam, zawsze mówili, że za żadne skarby nie pójdą do wojska. Jeden z nich nawet truł się chlorem, żeby nie przyjęli go na komisji.

– Ja nie jestem taki jak wszyscy. Pomyślałem, że to może być ciekawe doświadczenie. Coś zupełnie innego niż to, co robiłem wcześniej.

– I było?

– Tak, chociaż czasem bywało ciężko. Ale poznałem kilku fajnych ludzi.

– Co teraz będziesz robił?

– Nie mam pojęcia.

Jej śmiech przypominał dźwięk srebrnych dzwoneczków.

– Większość chłopaków w twoim wieku pracuje. Niektórzy nawet założyli już rodziny. A ty nie masz pojęcia?

– Mówiłem ci, nie jestem taki jak większość.

– A co chciałbyś robić?

– Coś ciekawego.

Znów ten śmiech. Magda kręci głową, ale w jej oczach widać ciepło. Wierzy, że on naprawdę jest inny niż wszyscy, że sobie poradzi.

– Masz jakiś szczególny talent?

– Tak, lubię rozwiązywać łamigłówki.

Ostatnie zdanie wróciło do niego, gdy pociąg hamował na stacji. Dwa listy od matki spoczywały bezpiecznie w kieszeni, przetarte w miejscach zgięcia papieru od wielokrotnego składania i rozkładania. Gdy wychodził z wojska, większość rzeczy rozdał albo wyrzucił, ale te dwa listy zatrzymał, bo właśnie w nich znajdowało się coś, na co zwrócił uwagę.

Karol Fiszel chwycił plecak i wyskoczył na peron. Pociąg pojechał dalej, a chłopak odszukał wzrokiem kobietę, która kołysząc szerokimi biodrami, szła w jego stronę.

Objęli się na powitanie.

– I jak tam, synuś, nie dawali ci jeść w tym wojsku, co? Schudłeś, biedactwo, ale zaraz cię nakarmimy, zrobiłam na obiad...

– Mamo.

– No?

– Trzy lata temu napisałaś do mnie, że dwie osoby powiesiły się na Drugich Szopienicach. A w sierpniu wspomniałaś, że była jeszcze trzecia.

– Nie powinnam pisać o takich rzeczach, tylko się potem zamartwiasz.

– To ile tych osób w końcu się powiesiło?

Uciekła spojrzeniem w bok. Minęli już kasy biletowe przy przejściu podziemnym i zmierzali w stronę ulicy Wiosny Ludów.

– Mamo.

– Cztery. Cztery osoby się powiesiły. Sami chłopcy w twoim wieku, synuś.

*7 października 1966 roku*

To był dobry dzień na pogrzeb. Słońce grzało, a kiedy przysunęłam się bliżej do zebranych nad grobem żałobników, pod moimi stopami zaszeleściły nakrapiane brązem złote liście. Większość drzew na cmentarzu przybrała już jesienne barwy, ale część nadal była zielona i patrząc na nie, mogłam prawie uwierzyć, że wciąż trwa lato. Rozpięłam dyskretnie zbyt ciężki na tę pogodę płaszcz, skrycie zazdroszcząc dwójce dzieci, którym matka pozwoliła zdjąć kurtki. Dziewczynka nosiła granatową sukienkę, a chłopczyk spodnie tego samego koloru i białą koszulę. Wyglądali, jakby właśnie wyszli ze szkolnej akademii. Nie znałam ich, ale tak naprawdę niewiele osób potrafiłam tu rozpoznać. Nie byłam krewną ani nawet bliską przyjaciółką zmarłego przed tygodniem Karola Fiszela. Ostatni raz widzieliśmy się, kiedy ja miałam trzynaście lat, a on szesnaście. Powiedział wtedy, że mam ładne oczy, a ponieważ chłopcy nieczęsto mówili mi takie rzeczy, zapamiętałam tamten dzień. Poza tym jednak niewiele nas łączyło. Karol przyjaźnił się bardziej z moim bratem niż ze mną. Przyszłam tutaj nie z powodu jakiegoś szczególnego sentymentu

do chudego nastolatka, który dawno temu nad stawem nazywanym Bagrem uszczęśliwił mnie banalnym komplementem, tylko z powodu Żanetki, Bartka i Kazi.

Gdy tamtego lata ich ciała przywieziono z Zakopanego, nie poszłam na pogrzeb. Rodzicom powiedziałam, że fatalnie się czuję – rzeczywiście przez cały ranek bolał mnie brzuch – tak naprawdę jednak po prostu stchórzyłam. Patrzenie, jak Żanetka, Bartek i Kazia znikają w ziemi, oznaczało pogodzenie się z tym, że troje najbliższych przyjaciół mojego brata zmarło w Tatrach, a on sam zaginął. Nie potrafiłam przyjąć tego do wiadomości. Chodziłam wtedy do liceum i wciąż w głębi duszy wierzyłam, że Romek lada dzień stanie w progu naszego mieszkania, roześmiany i zdumiony, o co ta cała afera, gładko wyjaśni wszystko, a potem będzie jak dawniej, zupełnie jakby śmierć trojga młodych ludzi mogła okazać się niczym więcej jak tylko koszmarną pomyłką.

Teraz byłam mądrzejsza i wiedziałam, że nawet gdyby Romek się odnalazł, nic nie będzie jak dawniej i żadne, nawet najgładsze wyjaśnienia nie zmienią tego, co się stało. I byłam gotowa stawić czoła prawdzie. Złe rzeczy przydarzają się wszystkim, a nagła śmierć może spotkać nie tylko starego człowieka, ale też kogoś młodego, jak ja.

Wyglądający na odrobinę zakłopotanego ksiądz pokropił grób święconą wodą.

*– Debitum humani corporis sepeliendi officium fidelium more complentes...*

Trzy lata temu mój brat wyruszył w góry z czwórką przyjaciół.

– ...*Deum, cui omnia vivunt, fideliter deprecemur, ut hoc corpus fratris nostri...*

Jedna osoba wróciła z tej wyprawy żywa, trzy zostały znalezione martwe, a jedna zaginęła bez wieści.

– ...*a nobis in infirmitate sepultum, die iudicii in resurrectionem vitae resuscitare dignetur.*

Romek być może już nigdy się nie odnajdzie, a ja nigdy się nie dowiem, czy mój brat żyje ani co właściwie wydarzyło się w Tatrach.

Chyba po raz pierwszy pomyślałam o tym tak jasno i wyraźnie. Słowa księdza przebrzmiały w ciepłym powietrzu, gdy pod moje nogi spadł okazały kasztan. Schyliłam się odruchowo, by go podnieść, rozłupałam mięsistą kolczastą otoczkę i wyjęłam owoc. Rozejrzałam się, chcąc sprawdzić, czy ktoś to zauważył, ale większość żałobników patrzyła na księdza. Tylko chłopczyk w granatowych spodniach i białej koszuli spoglądał łakomie na to, co trzymałam w dłoni. Gdy uniosłam brew, odpowiedział lekkim, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. Rzuciłam mu kasztan, a on chwycił go zręcznie i już po chwili brązowa kulka zniknęła w kieszeni szkolnych spodni. Uśmiechnęliśmy się do siebie niczym dwoje spiskowców i w tym momencie poczułam na karku czyjś wzrok. Odwróciłam się. Jeszcze jedna osoba patrzyła nie na księdza, tylko na mnie. Wysoki młody mężczyzna, reprezentujący modny od jakiegoś czasu beatlesowski styl, z dłuższymi włosami, w golfie i wąskich drelichowych spodniach. Pod pachą ścisnął skórzaną aktówkę. Stłumiłam zupełnie nieestosowną w tej sytuacji chęć, by pokazać mu język, i przyłączyłam się do wspólnego odmawiania *Pater Noster*.



Gdy ksiądz oznajmił: *Pulvis es et in pulverem reverteris. Dominus autem resuscitabit te in novissimo die*, wzdrygnęłam się lekko, jakby przez cmentarz przeszedł zimny podmuch wiatru.

Trumna zniknęła w ziemi, a żałobnicy po kolei podchodzili do matki Karola, by złożyć jej kondolencje. Odsunęłam się, chcąc zrobić miejsce mężczyźnie z aktówką – rodzina i bliscy przyjaciele mieli w tej sytuacji niewątpliwe pierwszeństwo – on jednak pokręcił głową. Ustawiałam się więc na końcu kolejki, tłumek przede mną rzedniał stopniowo, aż wreszcie stanęłam twarzą w twarz z Leokadią Fiszel. Poznała mnie, na szczęście, oszczędzając tym samym kłopotliwego tłumaczenia, kim właściwie jestem.

– Krysia – powiedziała, chwytając mnie za ręce. Oczy miała suche, ale na jej pobrużdżonej twarzy malował się wyraz cierpienia, który dobrze znałam. Tak samo wyglądała moja matka.

Wybąkałam niezręczne, banalne kondolencje, czując jednocześnie odrobinę paskudnej ulgi, bo to nie moja rodzina stała nad świeżo wykopanym grobem, bo my wciąż mieliśmy szansę na coś w rodzaju szczęśliwego zakończenia. Zaraz zrobiło mi się wstyd. Karol zasługiwał na lepsze pożegnanie. Pomyślałam o chłopcu kąpiącym się w miejscu, gdzie jeszcze niedawno wydobywano piasek – wtedy, pod koniec lat pięćdziesiątych, Bagier to było właściwie kilka połączonych ze sobą głębszych kałuż, z trudem zasługujących na nazwę stawu. Wynurzające się z wody mokre chude ciało, profil garbatego nosa rysujący się ostro na tle jasnego nieba. Ten nos to po żydowskich przodkach, szepnął mi kiedyś Karol, niby uśmiechnięty, ale jednocześnie z cieniem lęku w oczach, a ja nigdy nikomu tego nie powtórzyłam, bo kilkanaście lat po wojnie Żydzi wciąż nie mieli łatwo.

– Tak mi przykro – powtórzyłam, tym razem szczerze. Matka Karola ścisnęła moje dłonie, aż zaboląło.

– Tyle nieszczęścia – powiedziała, a ja nie miałam pojęcia, czy mówi tylko o Karolu, czy może słyszała też o moim bracie. Potem dodała bez związku: – Jak ty wyrosłaś... Musisz do nas wpaść kiedyś, kompotu się napić. Pamiętam, że zawsze lubiłaś kompot. Wpadniesz? Powspominamy dawne czasy. Mieszkam tam, gdzie zawsze, na Szabelnianej, i cały czas teraz jestem w domu...

– Przyjdę – obiecałam, bo nie mogłam przecież odmówić. I przez moment przynajmniej wierzyłam, że to zrobię. Leokadia Fiszel puściła mnie, po czym odeszła w stronę bramy, wsparta na ramieniu młodszej kobiety. Pozostali żałobnicy podążyli za nią niczym cofająca się fala. Ja zostałam, patrząc na zarzucony kwiatami grób. Lubiłam Karola i lubiłam jego matkę: kiedy wpadaliśmy do niej całą dziecięcą bandą, spoceni i spragnieni, zawsze dawała nam pić, a czasem nawet podsuwała coś do zjedzenia. Mnie i Romka traktowała szczególnie. „Zjedzcie krupnioka, u was w Sosnowcu pewnie tego nie macie”, mówiła. Zupełnie jakbyśmy pochodzili z innego świata, a nie z miasta oddalonego od Szopienic o dziesięć minut szybkiego marszu. Nigdy do końca nie byłam pewna, czy to żart, czy rzeczywiście w wyobraźni Leokadii Fiszel Śląsk i Zagłębie wciąż rozdzielają granica jak za czasów zaborów.

Niemniej krupnioki robiła smaczne. I faktycznie jako dziecko przepadałam za kompotem. Matka Karola miała dobrą pamięć.

Mimo tych wszystkich dobrych wspomnień na samą myśl, że miałabym odwiedzić dom na Szabelnianej, znowu się wzdrygnęłam. Nie chciałam słuchać o zmarłym Karolu ani tym bardziej wspominać z panią Leokadią mojego zaginionego brata. Nigdy nie byłam jakoś szczególnie dobra w pocieszaniu cierpiących, a poza tym takie zestawienie oznaczało niepokojącą symetrię, jakby Romek też już był martwy.

Pocieszyłam się myślą, że to zaproszenie, rzucone pod wpływem chwili, nic w gruncie rzeczy nie znaczyło. Leokadia Fiszel nie była samotną starszą panią, która musi szukać towarzystwa wśród koleżanek zmarłego syna. Nawet stąd widziałam otaczający ją wianuszek ludzi, pewnie członków rodziny i pomocnych sąsiadek.

Ruszyłam w stronę bramy, starając się iść powoli; nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że próbuję wkręcić się na stypę. Słońce wciąż grzało, zdjęłam więc płaszcz i niosłam go przewieszony przez ramię. Za mną szeleściły liście – ktoś szedł szybkim krokiem, ale nie odwróciłam się, by sprawdzić, kto jeszcze został dłużej przy grobie.

– Proszę pani. Proszę zaczekać.

Dopiero teraz zatrzymałam się i obejrzałam. W moją stronę zmierzał mężczyzna z aktówką, który – właśnie to sobie uświadomiłam – w ogóle nie podszedł do pani Leokadii, by złożyć jej kondolencje.

– Krystyna Wojciechowska, prawda?

– Tak.

– Łukasz Szewczyk – przedstawił się. – Jestem dziennikarzem, pracuję dla „Wieczoru”.

Zesztywniałam. Musiał to zauważyć, bo pospieszył z wyjaśnieniem.

– Nie chodzi o pani brata. To znaczy chodzi, ale nie w tym sensie. Nie zamierzam przeprowadzać z panią wywiadu ani publikować pani zdjęć. Zaginięcie Romana to stara sprawa.

To z kolei trochę mnie zabolalo, ale musiałam przyznać mu rację. Zresztą nawet trzy lata temu, tuż po tragedii i potem, w czasie procesu jedynej osoby, która wróciła, nie byłam dla prasy szczególnie łakomym kąskiem. Uwaga dziennikarzy skupiała się wtedy na Jacku Kotulaku.

– Poświęci mi pani chwilę? Może dałaby się pani zaprosić na kawę i ciastko, tu gdzieś jest restauracja, z tego, co wiem...

– Jest. Nazywa się Hutnik – potwierdziłam. Mijałam ten lokal za każdym razem, gdy jechałam piętnastką z Sosnowca do centrum Katowic.

– To jak, da się pani zaprosić? Nie zajmę pani dużo czasu. Chcę porozmawiać o Karolu Fiszelu, a także o innych.

– O innych? – Dałam się złapać na haczyk jak dziecko, a mój nowy znajomy pozwolił sobie na dyskretny triumfalny uśmiech.

– Wszystko wyjaśnię, obiecuję.

Trysknął urokiem przystojnych, pewnych siebie mężczyzn, tych w głębi duszy przekonanych, że żadna kobieta nie może im odmówić. Dlatego nabrałam ochoty, by powiedzieć „nie”, choćby tylko po to, żeby zobaczyć zdziwienie na jego twarzy. Ale zdołał mnie już zaintrygować, a w domu rodzinnym nie czekało mnie nic oprócz matki szorującej podłogę z niemal religijnym zapachem, jakby czystość mogła sprawić, że Romek wróci do domu, i ojca, wpatzonego niewidzącym wzrokiem w ekran telewizora.

– Znałem pani brata. – Łukasz Szewczyk sprytnie użył kolejnego argumentu. – Nie jakoś specjalnie dobrze, nie sądzę, żeby kiedykolwiek pani o mnie opowiadał. Ale spotkaliśmy się parę razy.

W to mogłam uwierzyć: byli w podobnym wieku, a Romek miał bardzo szeroki krąg znajomych. Znacznie szerszy niż ja.

Pomyślałam, że Szewczyk może naprawdę mieć coś ciekawego do powiedzenia. Oczywiście istniały także inne możliwości. Mógł mnie podrywać: myśl mało prawdopodobna, ale nie tak znów nieprzyjemna. Albo był wampirem, który na terenie Śląska i Zagłębia zaatakował już kilkanaście kobiet. Opowieści o nim przekazywano sobie pełnym grozy szeptem w kolejkach i na po-

dwórkach, nad szklankami czarnej herbaty w przedwojennych familokach i w nowoczesnych blokach.

Uśmiechnęłam się do tej jeszcze bardziej absurdalnej myśli, a Łukasz wziął to za zgodę i razem ruszyliśmy w stronę bramy.

\*

Nie zaciągnął mnie w krzaki rosnące za cmentarzem, żeby tam zaatakować ciosem w tył głowy – gdyby próbował to zrobić, broniłabym się i wrzeszczała, aż zlecieliby się wszyscy ludzie z okolicy. Zamiast tego w restauracji Hutnik zamówił dwie kawy i dwie wuzetki. Wbiłam widelczyk w swoje ciastko, uznając, że mi się należy. W czasie dwóch letnich miesięcy dzięki forsownym wędrówkom po górach straciłam prawie dziesięć kilo.

– Skąd pan znał Romka? – zapytałam.

– Łukasz – poprawił mnie. – Myślę, że będzie prościej, jeśli zaczniemy mówić sobie po imieniu.

– W porządku. W takim razie skąd znałeś mojego brata?

– Spotkaliśmy się u Staszka Balei, a potem, jakieś dwa tygodnie przed swoim zaginięciem, Romek do mnie zadzwonił.

Skinęłam głowę. Nie znałam Staszka zbyt dobrze, ale sporo o nim słyszałam. Studiował z Romkiem na Politechnice Śląskiej, podobnie zresztą jak większość znajomych mojego brata.

– Po co do ciebie zadzwonił? – Oblizałam widelczyk z resztek bitej śmietany i odłożyłam go na talerzyk. W Hutniku unosił się zapach dymu papierosowego i kawy, drażniący, a jednocześnie w pewien sposób przyjemny. Kiedy ostatni raz byłam w kawiarni? W liceum trzymałam się towarzystwa Romka i jego przyjaciół, a kiedy ich zabrakło, zrobiła się wokół mnie pustka. Nie miałam koleżanek z dawnych lat, a na studiach prawni-

czych większość grupy stanowili mężczyźni, którzy nie zwracali na mnie uwagi.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl w ułamku sekundy, gdy przełykałam resztki słodkiego ciastka. Wuzetka Łukasza leżała na talerzyku nieruszona, a na twarzy mojego nowego znajomego malował się nerwowy wyraz, kontrastujący z wcześniejszą pewnością siebie.

– Bo wiedział, że interesuję się kryminalnymi sprawami, i chciał... zaciekawić mnie pewnym tematem.

– Związanym z Karolem Fiszalem?

– Poniekąd. – Złapał widelczyk i zaraz go odłożył. Z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej zdenerwowanego. – Ile właściwie wiesz o śmierci Karola?

– Niewiele – przyznałam uczciwie. – Zauważyłam klepsydrę przy kościele i pomyślałam, że powinnam pójść na pogrzeb. Nie mam pojęcia, jak Karol zmarł, jeśli o to ci chodzi. Chciałam zapytać na cmentarzu, ale jakoś się nie złożyło. – Gdyby tam był ktoś znajomy, pewnie bym go zagadnęła, ale zadawanie takich pytań obcom osobom zakrawało na wścibstwo. – Założyłam, że to był wypadek albo jakaś choroba...

– To nie był wypadek ani choroba. On się powiesił.

– O! – Nie przyszła mi do głowy żadna sensowniejsza odpowiedź. – Ale przecież na pogrzebie był ksiądz.

– Co z tego? Wszystko da się obejść.

Fakt, przyznałam w myślach, przypominając sobie to dziwne zakłopotanie w głosie duchownego. Pani Fiszal przekupiła go, a może tylko przekonała, że Karol nie wiedział, co robi, a tym samym nie mógł być winny grzechu? Wołałam wierzyć w tę drugą ewentualność.

– Wiadomo, czemu się zabił?

– Nie, i to właśnie jeden z problemów. Karol jest piątym mężczyzną z Drugich Szopienic, który popełnił samobójstwo bez żadnego wyraźnego powodu. Wszyscy byli w podobnym wieku. I wszyscy zakończyli swoje życie w taki sam sposób: wieszając się.

– O kurczę. – Było to kolejne inteligentne spostrzeżenie, na jakie się zdobyłam. – Oni się znali?

– Pewnie tak. Drugie Szopienice to trzy ulice na krzyż, ludzie w podobnym wieku tam się znają, lepiej albo gorzej.

Skinęłam głowę. Same Szopienice, jeszcze do niedawna samodzielne miasto, a teraz dzielnica Katowic, były spore i należało do nich wiele mniejszych osad, z których część nosiła egzotyczne poniemieckie nazwy, takie jak Utyman czy Wilhelmina. Drugimi Szopienicami nazywano teren za wiaduktem kolejowym, przy granicy z Mysłowicami.

– A co te samobójstwa mają wspólnego z moim bratem?

Sięgnął po talerzyk i wreszcie zaczął jeść ciastko.

– Romek uważał, że trzy identyczne samobójstwa – bo wtedy były tylko trzy – w jednej niewielkiej dzielnicy nie mogą być przypadkiem. Dlatego do mnie zadzwonił. Chciał, żebym zainteresowałam się tym jako dziennikarz. Był bardzo podniecony, momentami z trudem rozumiałem, co właściwie mówi.

To zupełnie nie pasowało do Romka, który nawet w trakcie najtrudniejszych egzaminów zawsze był rozluźniony i uśmiechnięty. Jeśli nagle zaczął się tak zachowywać, coś musiało mocno go poruszyć. Dlaczego tego nie zauważyłam? Byliśmy przecież ze sobą blisko.

Jednak nie aż tak blisko, żeby mówił mi o wszystkim. Przez myśl przemknęły mi wspomnienia z czasów, gdy Romek, Żanetka i Bartek zaczęli studia na politechnice, a Kazia, również studentka, niemal w każdy weekend dojeżdżała do Katowic z Kra-

kowa. Chodziłam z nimi wtedy do kawiarni słuchać jazzu, do kina i na prywatki. Na te ostatnie byłam oczywiście za młoda, ale rodzice ufali, że Romek się mną zaopiekuje. Dorastałam więc, sącząc oranżadę – a później także alkohol – na imprezach dla studentów, bardzo dumna z tego, że wszyscy traktują mnie, jakbym była częścią ich życia. Ale już wtedy zdawałam sobie sprawę, że w pewne rejony nie mam wstępu. Nagle widywałam mojego brata w towarzystwie osób, o których nigdy mi nie wspominał, albo rozmowa zbaczała na tematy, o których nie miałam pojęcia. Owszem, zdarzały się dni, kiedy zaczynałam wierzyć, że ja i Romek nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Ale bywały i takie, gdy znikał gdzieś rano i wracał dopiero późnym wieczorem, a moje pytania o to, gdzie był i co robił, zbywał pomrukami.

Poczułam w sercu ukłucie bólu, tak starego, że właściwie już do niego przywykłam. Nie oczekiwałam oczywiście, że Romek będzie się zwierzał młodszej siostrze ze wszystkich swoich flirtów czy rozmów z kolegami, ale o czymś tak ważnym jak seria dziwnych samobójstw mógłby mi powiedzieć. Byliśmy przecież nie tylko rodzeństwem, lecz także... partnerami? Tak nas przynajmniej postrzegałam.

Wyrzuciłam z głowy tę myśl, bo to nie był na nią właściwy czas, i skupiłam się na określeniu „dziwne samobójstwa”, które mogło oznaczać tylko jedno.

– Romek sądził, że ci mężczyźni nie powiesili się sami. Że ktoś ich zabił. – Łukasz uśmiechnął się, trochę nerwowo, a trochę z wdzięcznością. – Owszem. Wiem, jak to brzmi, ale on właśnie tak uważał. Nie uwierzyłem mu oczywiście. Pomyślałem sobie, że te trzy śmierci to nic podejrzanego. Zdarza się przecież, że jeśli jedna osoba popełnia samobójstwo, to kolejna z jej otoczenia niedługo też to robi. Co prawda ci mężczyźni nie byli przyja-



ciółmi, a przynajmniej nic o tym nie wiadomo. Ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Dlatego chciałem zbyć Romka, jednak on nalegał, aż w końcu na odczepnego zgodziłem się z nim pogadać, kiedy wróci z gór. Miałem nadzieję, że podczas wycieczki ta dziwna obsesja po prostu mu przejdzie.

– Ale on nie wrócił.

– Nie wrócił. A ja na początku nawet nie łączyłem ze sobą tych faktów. Trzy samobójstwa w Katowicach i trzy śmierci oraz jedno zaginięcie w Zakopanem. Każda z tych spraw była tragedią, ale co miałyby mieć ze sobą wspólnego? Dlatego zapomniałem o Romku i jego prośbie. Dopiero teraz, niedawno, kiedy dowiedziałem się przypadkiem, że na Drugich Szopienicach powiesił się kolejny mężczyzna, coś zaczęło mi świtać. Pogrzebałem trochę i wyszło na to, że młody Fiszel nie był czwarty, tylko piąty. Pomiędzy zaginięciem Romka a śmiercią Karola jeszcze jedna osoba zmarła w tych samych okolicznościach. Zgadzały się dzień, płeć, wiek i sposób popełnienia samobójstwa. Nawiasem mówiąc, po śmierci tej czwartej osoby milicja wreszcie zaczęła coś podejrzewać i rozpoczęła śledztwo. Niczego nie znaleźli i w końcu musieli się poddać, ale jeśli zapytasz nieoficjalnie, to każdy pracujący przy tej sprawie ci powie, że dalej ma wątpliwości, czy to na pewno były samobójstwa.

Skinęłam odruchowo głową, choć teoria, że ktoś miałby powiesić pięciu dorosłych mężczyzn, wydawała się jeszcze bardziej fantastyczna niż zwykły zbieg okoliczności. Cała ta opowieść brzmiała jak fabuła książki albo filmu sensacyjnego i może właśnie dlatego w jakiś sposób pasowała do mojego brata. Romek zawsze żył tak, jakby wszystkie światła reflektorów były skierowane na niego. Rodzice nie wątpili, że ich syn jest stworzony do rzeczy wielkich i niezwykłych. Ja zresztą też nie. Gdy we wczesnym

dzieciństwie fantazjowałam o naszych wspólnych przygodach, to Romek był głównym bohaterem, a ja tylko skromnym – choć oczywiście ważnym – pomocnikiem, niczym doktor Watson przy Sherlocku Holmesie.

Przywołałam we wspomnieniach inną scenę. Mam czternaście lat, może piętnaście, i siedzę z moim bratem w kawiarni. On pije czarną, bardzo mocną kawę – zawsze taką zamawiał – ja jem lody. Przy sąsiednim stoliku elegancka blondynka w ciemnych okularach rozgląda się nerwowo, jakby na kogoś czekała. Albo jakby bała się, że ktoś przyjdzie.

Romek pochyla się w moją stronę i zniża głos.

– Spójrz na tę kobietę – mówi. – Nie, nie odwracaj się, patrz na odbicie w cukiernicy. Widzisz?

Nie muszę patrzeć w cukiernicę, blondynce przyjrzałam się już wcześniej, a i teraz, bez odwracania się, widzę ją kątem oka. Kiwam jednak głową, bo w głosie Romka jest coś, co budzi podniecenie, jakbym trzymała w rękach pachnącą jeszcze farbą drukarską książkę.

– Założę się, że to szpieg – kontynuuje mój brat. – Przyszła się tu spotkać ze swoim kontaktem. Dlatego założyła ciemne okulary i tak się rozgląda.

Na moment daję się wciągnąć w tę opowieść. Jesteśmy w niej razem, ja i on, bohaterowie tropiący zagranicznych szpiegów. Potem wracam do rzeczywistości.

– Moim zdaniem spotyka się tu z kochankiem i boi się, że mąż ją nakryje – mówię. – Dlatego tak się denerwuje. A okulary nosi, żeby zasłonić siniaki pod oczami.

Romek uśmiecha się i daje mi prztyczka w nos.

– Psujesz zabawę. – Ton ma lekki, jednak po minie poznaję, że jest trochę urażony.

Czy dlatego właśnie nie powiedział mi o tych samobójstwach? Bo spodziewał się, że znowu znajdę jakieś trywialne wyjaśnienie?

– Palisz? – Głos Łukasza wyrwał mnie z zamyślenia.

– Tak – odpowiedziałam, patrząc na wyciągniętą w moją stronę paczkę papierosów marki Wawel. – To znaczy nie.

Uniósł brew, a ja poprawiłam się, odrobinę speszona.

– Czasami. Ale teraz nie mam ochoty.

– To może zamówimy po drugim ciastku?

– Dobrze, pod warunkiem że tym razem ja płacę.

Uniósł brew jeszcze wyżej, ale nie zaprotestował.

Przyniosłam kolejne dwie wuzetki i dwie kawy. Gdy kładłam je na stoliku, zauważyłam szarą papierową teczkę bez żadnego napisu. Spojrzałam na Łukasza, a on znaczącym ruchem pchnął ją w moim kierunku.

– Zajrzyj – zachęcił. – Jest tam parę zdjęć i informacji, które udało mi się zdobyć.

Wciąż mogłam odwrócić się i odejść. Ryzyko, że na Drugich Szopienicach istotnie grasował niewykryty od kilku lat morderca, było niewielkie. To, że mój brat się o tym dowiedział i dlatego zaginął w Tatrach, wydawało się jeszcze mniej prawdopodobne. Mogłam więc spokojnie wrócić do domu, do rodziców, i o wszystkim zapomnieć. Powinnam tak zrobić, zwłaszcza że domyślałam się, o co Łukasz mnie poprosi. Nie miałam już nawet ochoty na ciastko, poza tym zrobiła się obiadowa pora i w Hutniku czuć było teraz kwaśny zapach ogórkowej, za którą nigdy nie przepadałam. Cała ta zwyczajność: szczek sztucców, ludzie palący papierosy przy stolikach, przeglądający gazety i plotkujący, jaskrawo kontrastowała z leżącą na stoliku szarą teczką. Wiedziałam, że jeśli ją otworzę, znacznie trudniej będzie mi tak po prostu wyjść.

Wyciągnęłam rękę i otworzyłam teczkę, starając się udawać, że nie widzę pełnego zadowolenia uśmiechu, który przemknął po wargach Łukasza.

– Franciszek Bożek – powiedział, gdy wzięłam do ręki leżące na wierzchu zdjęcie. – Pierwsza ofiara. O ile oczywiście mówienie w tym przypadku o ofiarach ma sens – zastrzegł od razu, widząc moją sceptyczną minę. – Urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim w Katowicach. Skończył technikum gastronomiczne, zatrudnił się jako cukiernik i w wieku osiemnastu lat poślubił miłość z czasów szkolnych. Młodzi zamieszkali u rodziców Franciszka przy Wiosny Ludów. Dokładny adres jest zapisany w notatkach. Pięć miesięcy później na świecie pojawił się mały Bercik, co pewnie wyjaśnia, czemu ślub organizowano tak pospiesznie, a rok później jego siostrzyczka, Łucja. Mała nie nauczyła się nawet porządnie chodzić, kiedy jej tato, do tej pory uważany przez wszystkich za szczęśliwego męża i ojca, powiesił się na strychu.

Ze zdjęcia patrzyła na mnie czarno-biała twarz chłopca w szkolnym mundurku, z ulizanymi włosami i uszami jak radar. Miał duże oczy i podejrzenie niewinną minę, dzięki czemu wyglądał trochę jak chochlik z książki dla dzieci. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić w roli ojca dwójki dzieci – szczęśliwego czy też nie – ale pomyślałam, że gdybyśmy się kiedyś spotkali, pewnie bym go polubiła.

– Znałaś go? – zapytał Łukasz.

Pokręciłam głową. Zapamiętałabym chłopaka o tak charakterystycznej urodzie. Najwyraźniej nie należał do towarzystwa, które chodziło się kąpać na Bagrze.

– A to Ryszard Nalepa – oznajmił, gdy sięgnęłam po drugie zdjęcie. – Ten sam rocznik, mieszkał na Chemicznej z owdowiałą

matką i pracował w hucie. Nie miał żony ani nawet narzeczonej i z tego, co wiem, był raczej samotnikiem. Powiesił się w marcu sześćdziesiątego trzeciego, pół roku po śmierci Franciszka.

Wyglądał na starszego. Gdybym nie wiedziała, kiedy się urodził, dałabym mu jak nic trzydzieści lat. Miał cerę zniszczoną papierosami, ciężką podłużną twarz z gatunku tych, o których mówi się „końska”, duże zęby i opadające powieki. Jego też raczej bym zapamiętała.

– I Jurek Pytlik. Rok młodszy od tamtej dwójki.

Drgnęłam lekko. Pucułowaty chłopiec pozował w stroju ministranta na tle kościoła, za jego plecami kręcili się elegancko ubrani ludzie: jakiś ślub, a może chrzest? To zdjęcie było stare, Jurek miał na nim nie więcej niż czternaście, piętnaście lat i pewnie dlatego rozpoznałam go bez trudu.

– Wołałiśmy na niego Jerzyk – powiedziałam. – Chciał zostać księdzem.

– Poszedł do seminarium – przyznał Łukasz. – I podobno nieźle tam sobie radził. Ale w czerwcu sześćdziesiątego trzeciego przyjechał do domu na Boże Ciało, rozpakował się, zjadł na obiad karminadle, a potem poszedł na spacer i powiesił się na drzewie.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Mam swoje źródła.

– I one powiedziały ci o karminadlach?

– To akurat zmyśliłem – przyznał z rozbijającą szczerością. – Mógł dostać na obiad rolady z modrą kapustą albo żurek. Wszystko jedno.

– A te fotografie? Też je zdobyłeś dzięki źródłom?

Skinął głową.

– Brakuje mi tylko czwartego samobójcy, czyli Stefana Jaroszewicza. Ale w teczce jest jeszcze parę ciekawych rzeczy.

Wzięłam do ręki zdjęcie Karola Fiszela, zrobione najwyraźniej w czasie wakacji: chłopak ubrany w góralski strój, z ciupagą w dłoni pólleżał na łące, a za nim widać było ośnieżone górskie szczyty. Poczułam nieprzyjemny ucisk w okolicy żołądka. Czy to przypadek, że Karol spędzał lato w Tatrach, gdzie zaginął mój brat? Może, choć tych przypadków robiło się trochę za dużo.

Potem dopiero sięgnęłam po pozostałe papiery. Były tam wycięte z gazet nekrologi, parę luźnych kartek zapisanych rozchwianym pismem, a także zrobiony długopisem rysunek. Przedstawiał zgarbioną postać wiszącą na sznurze przerzuconym przez biegnącą pod powalą belkę. Naszkicowane precyzyjnymi kreskami pomieszczenie wyglądało na strych, niedaleko nóg wisielca leżała przewrócona blaszana wanna.

– Kto to? – zapytałam.

– Jaroszewicz, czyli czwarta ofiara. Rysunek zrobił milicjant, wezwany na miejsce zdarzenia. Zresztą ten sam, który potem prowadził śledztwo.

– Czy ten samobójca ma ręce związane za plecami? – Zniżyłam głos, bo zdawało mi się, że kilka osób przy sąsiednim stoliku zaczyna się nam przyglądać z ciekawością. Restauracja zappełniała się coraz bardziej i pomyślałam, że najwyższa pora kończyć tę rozmowę.

– Tak. Podobno sam je sobie związał.

– To możliwe?

– Owszem. Niełatwe, ale możliwe. I trzeba wiedzieć, jak to zrobić. To zresztą kolejna kwestia, która mnie przekonuje, że cała ta sprawa jest podejrzana. Bo widzisz, oni wszyscy mieli ręce związane z tyłu. Cała piątka. Jedna osoba mogłaby wpaść na taki pomysł. Samobójcy czasami tak robią. Boją się, że w ostatniej chwili stchórzą i będą próbowali się ratować albo coś w tym

rodzaju. Ale żeby dokładnie to samo zrobiło pięć różnych osób? I każda z nich wiedziała, jak się taki węzeł wiąże?

Milczałam. Mój brat kiedyś – być może nawet wtedy, w kawiarni, gdy rozważaliśmy, czy kobieta w ciemnych okularach może być szpiegiem – zarzucił mi, że nie mam wyobraźni. Ale to nieprawda. Mam wyobraźnię, choć moja koncentruje się nie na abstrakcyjnych fantazjach, tylko na tym, co faktycznie może się zdarzyć. Albo co mogło się zdarzyć. Dlatego bez problemu przywołałam w głowie obraz tamtego strychu: zapach grubej warstwy kurzu zmieszany z mydlaną wonią schnącego prania, promienie słońca wpadające przez wąskie okna, gruchanie i trzepot skrzydeł gołębi, które przysiadają na parapetach i zaglądadają ciekawsko do środka. Cisza i w tej ciszy poskrzypywanie sznura, ciało obracające się wolno wokół własnej osi, aż wreszcie nieruchomieje, kształt zarysowany ciemnością na jasnym prostokącie światła, w którym wirują szare drobinki.

– Czego właściwie ode mnie oczekujesz? – zapytałam, chociaż znałam odpowiedź. Resztki niedojedzonego ciastka rozplwały się na talerzyku, kawa w filiżance całkiem już wystygła.

– Rodziny tych chłopaków nie chcą ze mną rozmawiać. To znaczy na początku trochę mówili i nawet dali mi te zdjęcia, ale szybko rozeszła się plotka, że chcę napisać o ich bliskich sensacyjny artykuł, i nabrali wody w usta.

– A chcesz napisać sensacyjny artykuł?

– Dlaczego nie? – Znowu ta szczerość, na wpół rozbijająca, a na wpół irytująca. – Na tym polega moja praca. To może być duża sprawa, może nawet coś kalibru zagłębiowskiego wampira. A o nim nie wolno pisać.

– Naprawdę wierzysz, że ktoś zabił tych chłopaków? – Przyłapałam się na tym, że zaczęłam o nich myśleć „chłopcy”, a nie

„mężczyźni”, choć przecież cała piątka była już dorosła, mieli pracę, a przynajmniej w jednym przypadku także żonę i dzieci. Może sprawiły to zdjęcia, na których wszyscy z wyjątkiem Ryszarda wydawali się tacy młodzi, niewinni i bezbronni.

– Nie wiem – przyznał Łukasz. – Jeśli tak, to morderca jest niesamowicie sprytny. Istnieje też inna ewentualność: może ktoś ich do tego namówił.

– Żeby powiesili się ze związanymi z tyłu rękami?

Wzruszył ramionami.

– To nie brzmi zbyt prawdopodobnie, wiem, ale na Drugich Szopienicach dzieje się coś złego. Ze mną nikt już nie chce rozmawiać...

– Ale ze mną będą chcieli.

Skinął głową.

– Słyszałem, jak matka Karola Fiszela zapraszała cię do siebie. Mogłabyś ją odwiedzić i trochę popytać.

– Jak prawdziwy szpieg. – Uśmiechnęłam się, myśląc o kobiecie w ciemnych okularach. Łukasz nie zrozumiał, odpowiedział jednak uśmiechem.

– Trochę tak. Możesz zabrać ze sobą tę teczkę i przejrzeć ją w domu na spokojnie. Skontaktuję się z tobą... Masz w domu telefon?

– Mam i mogę ci podać numer, ale niczego nie obiecuję.

– Jasne. – Zdobył się na tyle przyzwoitości, by udawać, że mi wierzy, choć już wtedy oboje wiedzieliśmy, że się zgodzę. Łukasz należał do ludzi, którzy błyskawicznie rozpoznają słabości innych i wiedzą, jak nimi manipulować, ja zaś pod pewnymi względami stanowiłam typ idealnej ofiary. Wystarczyło pomachać mi pod nosem szansą na dowiedzenie się, co przydarzyło się mojemu bratu, a już gotowa byłam rzucać wszystko i biec z pomocą.



Pożegnaliśmy się i nie czekając na tramwaj, powędrowałam w stronę Sosnowca. Po drodze włożyłam płaszcz, bo zdążyło się ochłodzić. Szłam alejką wzdłuż stawu, ciemna tafla połyskiwała w dole między drzewami, podmuchy wiatru przeganiały po ścieżce suche liście, które sunęły z odgłosem przypominającym drapanie małych pazurków. Wrażenie, że wciąż trwa lato, zniknęło, słońce stało nisko, a powietrze nabrało charakterystycznej dla jesieni przydymionej przejrzystości. Pachniało gnijącą w wodzie roślinnością i ziemią. Zatrzymałam się na moment w miejscu, skąd widziałam zatoczkę, przy której dawno temu siedziałam z Karolem, ale o tej porze roku oczywiście była pusta. Blisko brzegu kręciły się tylko dwa łąbędzie, jakby liczyły, że ktoś się zlituje i je nakarmi. Chwilę później nad staw zesza kobieta z psem. Łaciaty kundel, szczerząc się jazgotliwie, rzucił się w stronę ptaków, a te spłoszyły się i odpłynęły, ciągnąc za sobą odbicia w wodzie jak dwa białe duchy.

\*

Gdy w bloku przy ulicy Anielewicza wciskałam guzik, by ściągnąć windę z ostatniego piętra, wciąż czułam odrobinę dziecięcego podniecenia. Przeprowadziliśmy się tu zaledwie przed miesiącem i była to niewątpliwie duża zmiana po starym domu z przeciekającym dachem, grzybem wpełzającym podstępnie na ściany w łazience i srającymi przed drzwiami kurami sąsiada. Na przydział nowego mieszkania nasza rodzina czekała już od dawna, ale dopiero po zaginięciu Romka sprawy nabrały tempa i nagle wskoczyliśmy na początek kolejki. Myśl, że nasze nowoczesne M-3 z centralnym ogrzewaniem zawdzięczamy litości jakiegoś urzędnika, nie była przyjemna, ale zazwyczaj nie zawracałam nią sobie głowy.

Mój ojciec tkwił przed telewizorem, oglądając zawody lekkoatletyczne z udziałem reprezentacji NRD i Polski, matka siedziała w kuchni i rozwiązywała krzyżówkę. Na mój widok uniosła głowę.

– W piekarniku są gołąbki – oznajmiła.

– Byłam na pogrzebie mojego dawnego kolegi – odparłam, ignorując jej słowa. – Karol Fiszel z Szopienic. Kiedy chodziłam do podstawówki, kąpaliśmy się razem na Bagrze.

Zamrugła. Oczy miała czerwone, jakby przed chwilą płakała, ale może tylko mi się zdawało. W kuchni panował półmrok, przy stoliku ledwo mieściły się dwie dorosłe osoby. Jeśli tęskniły za jakimś elementem starego domu, to właśnie za dużą kuchnią, przytulną, z buzującym w piecu ogniem. Te w nowych blokach niewątpliwie są wyrazem sadystycznych upodobań architektów.

– A potem spotkałam się z nieznanym mężczyzną – ciągnęłam z uporem, choć wiedziałam, że powinnam przestać. Z dużego pokoju dobiegały odgłosy komentatora sportowego raz po raz powtarzającego, że to „transmisja wprost z Magdeburga”, w powietrzu wyczuwałam lekko już zwietrzałą woń piwa. Choć to może też mi się zdawało. – Podejrzewam, że może być wampirem. Nie zaciągnął mnie jeszcze w krzaki, żeby tam zabić, ale kto wie, możliwe, że po prostu zostawił sobie tę przyjemność na następne spotkanie.

Coś drgnęło w twarzy mojej matki, zupełnie jakbym potrząsała osobą pogrążoną w głębokim śnie.

– Nie powinnaś się spotykać z nieznanymi mężczyznami – powiedziała wreszcie, po czym wróciła do krzyżówki. – I zjedz obiad, zanim wystygnie.

Zjadłam, a potem zaszyłam się w swoim pokoju. Po trzydziestu dniach od przeprowadzki w kącie wciąż stały nierozpakowa-

ne pudła, ja zaś zastanawiałam się, czy kiedykolwiek odważę się je otworzyć i wyjąć rzeczy, które przypominały mi przeszłość. W starym domu dzieliłam pokój z bratem; przywykłam do oddawania mu połowy mojej przestrzeni i na samą myśl, że teraz miałabym zagarnąć całą dla siebie, czułam się nieswojo. Dlatego żyłam jak w hotelu, z gołymi białymi ścianami, łóżkiem przykrytym burą narzutą i starym stolikiem, na którym piętrzyły się podręczniki. Żadnych ozdób, maskotek, rzeczy, które uczyniłyby to miejsce bardziej osobistym. Moja matka patrzyła czasem na pudła i na ściany, ale nic nie mówiła. W naszym domu milczało się o bardzo wielu rzeczach.

Uchyliłam okno, wpuszczając do środka pachnące jesiennym zmięszchem powietrze, i zapaliłam papierosa.

Czy naprawdę byłam w stanie to zrobić? Zadałam sobie to pytanie, patrząc na smużkę dymu rozmywającą się na tle ciemniejącego nieba. Wkraść się pod fałszywym pretekstem do domu matki opłakującej zmarłego samobójczą śmiercią syna i węszyć – większość wrażliwych ludzi wzdrygnęłaby się na taki pomysł. Ale ja nigdy nie zaliczałam się do osób szczególnie wrażliwych, a poza tym zdążyłam się już przekonać, że nie każda śmierć – i nie każde zaginięcie, jeśli już o tym mowa – jest wyłącznie prywatną sprawą rodziny i bliskich. Pięć identycznych samobójstw w jednej dzielnicy już zwróciło na siebie uwagę, nie wątpiłam więc, że pani Leokadia Fiszel i jej bliscy prędzej czy później i tak będą musieli zacząć odpowiadać na niewygodne pytania.

Uspokoiwszy w ten sposób resztki wyrzutów sumienia, zdjęłam ze stolika podręczniki, z których jako pilna studentka powinnam uczyć się przez cały weekend, i położyłam na nim teczkę Łukasza. Gapiłam się na nią, dopalając papierosa, a po-

tem zgasiałam go i wyjęłam zgromadzone przez mojego nowego znajomego materiały. Rozłożyłam na łóżku zdjęcia, zaczynając od Franciszka Bożka, a kończąc na Karolu Fiszelu, tym razem jednak nie przyglądałam im się zbyt długo. Skupiłam się na zapisanych rozchwianym pismem stronach, które wcześniej zignorowałam. Łukasz skrobał jak kura pazurem, spodziewałam się więc, że jego notatki będą równie chaotyczne, ale nie – gdy już je odszyfrowałam, spis wydarzeń okazał się zaskakująco uporządkowany.

Osiemnastego września 1962 roku dwudziestoletni Franciszek Bożek wraca z pracy, częstuje dzieci kołoczem, a potem bawi się z nimi przez chwilę. Godzinę później jego ciało znajduje matka, która poszła na strych zdjąć suszące się pranie. Zgodnie ze słowami najbliższych Bożek nie miał żadnych problemów, nie pił – przynajmniej nie więcej niż inni – w pracy radził sobie dobrze, dzieciaki rosły zdrowo, a rodzina dogadywała się ze sobą na tyle, że nawet między żoną i teściową nie było niesnasek.

Co oczywiście jeszcze o niczym nie świadczy, pomyślałam. Ludzie niechętnie zwierzają się dziennikarzom, a Bożek mógł ukrywać swoje problemy przed najbliższymi. Tak czy inaczej wezwana na miejsce zdarzenia milicja niczego podejrzanego nie znalazła. Nawet związane z tyłu ręce nie budziły wątpliwości, zwłaszcza że matka zmarłego przez cały czas była w domu i potwierdziła, że od czasu, gdy widziała syna bawiącego się z dziećmi, do momentu znalezienia ciała nikt obcy nie mógł wejść na strych.

Mija sześć miesięcy i dwudziestego trzeciego marca ginie Ryszard Nalepa, pracownik Huty Metali Nieżelaznych „Uthemann”. Młody mężczyzna wieszka się nie na strychu, tylko na podwórku, a ciało znajduje sąsiadka, ale schemat pozostaje ten sam. Związa-

ne z tyłu ręce, żadnych wyraźnych powodów, dla których Nalepa mógłby chcieć odebrać sobie życie.

Podobno był samotnikiem, pomyślałam, przypominając sobie słowa Łukasza. Gdyby miał powody, prawdopodobnie nikt by o nich nie wiedział.

Trzynastego czerwca 1963 roku na Boże Ciało wraca Jurek Pytlik, student Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Dumni rodzice urządzają z tej okazji coś w rodzaju przyjęcia, schodzą się sąsiedzi, młodsze dzieciaki kręcą się pod nogami. Jerzyk opowiada o życiu w seminarium, a pod wieczór oznajmia, że idzie się przejść, żeby „przewietrzyć głowę”. Podejrzywałam, że spaceruje nie są szczególnie popularną rozrywką wśród młodych mężczyzn z Drugich Szopienic, podobnie zresztą jak „wietrzenie głowy”, niemniej Jerzyk musiał być uważany w swoim środowisku za kogoś wyjątkowego, stąd też nikogo to raczej nie zdziwiło. Gdy jednak chłopak nie wrócił na kolację, młodsza siostra wyszła go szukać. I znalazła wiszącego na drzewie nad stawem, tuż obok linii kolejowej.

Stefan Jaroszewicz urodził się w 1939 roku, co oznaczało, że był nieco starszy niż pozostała czwórka. Pracował jako tramwajarz i miał żonę, która w chwili jego śmierci była w ósmym miesiącu ciąży. To ona piątego lipca 1963 roku znalazła na strychu powieszzonego męża. Nie chciała rozmawiać z Łukaszem, domyśliłam się jednak, że człowiek, który niedługo ma zostać ojcem, niewiele miał powodów, by się wieszać.

A może było odwrotnie? Może perspektywa rodzicielstwa przeraziła Stefana, tak samo jak perspektywa zostania księdzem mogła przerosnąć Jurka Pytlika?

I wreszcie Karol Fiszel, jedyny, który powiesił się we własnym mieszkaniu. On także, podobnie jak Ryszard Nalepa, wcześ-

nie stracił ojca. Niejasno kojarzyłam, że miał chyba starszą siostrę, ale nie pamiętałam, żeby widziała ją na pogrzebie – o ile oczywiście w ogóle bym ją rozpoznała. Po szkole średniej dostał się na studia, ale zrezygnował po trzech latach i poszedł do wojska. Zwolniony ze służby pod koniec sierpnia, wrócił do matki i mieszkał z nią prawie miesiąc, aż do 23 września. Wtedy to Leokadia Fiszel wyszła rano na zakupy, a kiedy wróciła, zastała leżący na dywanie żyrandol i syna kołyszącego się na sznurze przerzuconym przez wbity w sufit hak.

Wszyscy w chwili śmierci mieli od dwudziestu do dwudziestu czterech lat i mieszkali na Drugich Szopienicach. Dwóch powiesiło się na strychu, jeden na podwórku, jeden nad stawem, a jeden we własnym domu. Wszyscy zginęli ze związanymi z tyłu rękami.

Nie miałam pojęcia, co z tego wszystkiego wynika ani jak do tej układanki pasuje mój brat, który zaginął w Zakopanem na początku lipca trzy lata temu, krótko po śmierci Stefana Jaroszewicza.

Łukasz miał rację, cała piątka prawie na pewno się znała – w końcu Drugie Szopienice nie są duże, a zmarli byli w podobnym wieku. Może nawet niektórzy z nich chodzili do tej samej klasy, bo w pobliżu były tylko dwie podstawówki i jedna szkoła specjalna.

Zwróciłam też uwagę na odstępy czasowe: śmierć Franka Bożka dzieliło od śmierci Ryszarda Nalepy sześć miesięcy, potem trzy kolejne samobójstwa nastąpiły odpowiednio w marcu, czerwcu i lipcu i wreszcie kolejna, znacznie dłuższa, bo trzyletnia przerwa aż do września tego roku, gdy zmarł Karol Fiszel.

Jurek Pytlik powiesił się tego samego dnia, gdy wrócił do domu, a Karol wrócił, pomieszkał jakiś czas z matką i dopiero po miesiącu odebrał sobie życie.

Westchnęłam, włożyłam papiery oraz zdjęcia z powrotem do teczki i poszłam zrobić sobie herbatę. Mojej mamy nie było w kuchni, usłyszałam za to szepty dobiegające od strony drzwi wejściowych i rozpoznałam głos sąsiadki, która lubiła wpadać a to pożyczyć cukier, to znów podzielić się najnowszymi plotkami. W ucho wpadło mi słowo „wampir”, unoszące się nad głosami rozmawiających miękko i jednocześnie groźnie, niczym kołujący drapieżny ptak. Czekałam cierpliwie, aż drzwi się zamknęły i matka wróciła do kuchni.

– Mówiłyście o wampirze? – zapytałam. – Znowu kogoś zabił?

– Wręcz przeciwnie, złapali go. Nie tego naszego, tylko tego, który zabijał w Krakowie – dodała szybko, widząc wyraz mojej twarzy. – Już latem go dopadli, zaraz po maturze, bo to jakiś młody chłopak jest. To przez tę wojnę. Zostawiła w ludziach zło i ono teraz wychodzi, pęka jak wrzody. Wszędzie jest pełno zła. – Złapała mnie nagle za rękę i ścisnęła. – Obiecuj, że nie będziesz się spotykać z żadnymi nieznanymi mężczyznami.

– Obiecuję – zgodziłam się potulnie, bo przecież Łukasz nie zaliczał się już do tej kategorii. Jeszcze niedawno próbowałam sprowokować moją matkę do takiej reakcji – do jakiegokolwiek reakcji – ale teraz wystraszyło mnie jej gorączkowe spojrzenie.

– Tyle zła – wymamrotała i przez moment do złudzenia przypominała Leokadię Fiszel.

Tyle zła.

Tyle nieszczęścia.

W Krakowie życie straciły dwie osoby, w Katowicach mieliśmy już kilkanaście ofiar. Pomyślałam, że moja matka może mieć rację: wojna mogła wyzwolić w ludziach pokłady brutalności i zewszierzenia, które teraz wypływały na wierzch jak szumowiny.

Wróciłam do swojego pokoju i przez moment rozważałam, czy w Szopienicach nie grasuje jeszcze jeden wampir. Ale to nie miało wiele sensu. Matka Bożka zarzekała się, że nikt obcy nie mógł wejść na strych ich domu, Karol Fiszel zmarł we własnym mieszkaniu. Albo więc ci chłopcy – znowu przyłapałam się na używaniu tego słowa – zginęli z ręki kogoś znajomego, albo, co bardziej prawdopodobne, sami pozbawili się życia. W przeciwieństwie do Romka nie wierzyłam w tajemniczego zabójcę, ale podobnie jak Łukasz uważałam, że w Szopienicach dzieje się coś dziwnego.

Coś, czym warto się zainteresować.

\*

Śniłam ten sen wielokrotnie od czasu zaginięcia Romka. Wspinałam się w nim górską ścieżką, próbując nadążyć za bratem i jego przyjaciółmi, którzy zostawili mnie daleko w tyle. Słyszałam ich śmiech odbijający się od skalnych ścian, zwodniczy niczym wołanie rusałek w lesie, i biegłam, biegłam co sił w nogach, ale niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie zamierzali na mnie czekać, byli coraz dalej i dalej, a ja uświadamiałam sobie, że jestem tylko pulchną głupią dziewczyną i nigdy na nich nie zasługiwałam. A potem huk pękających skał i dźwięk toczącej się lawiny zabierał wszystko: śmiech lekki jak sunące po niebie obłoki, złote ciepło letniego dnia, zapach rozgrzanej słońcem żywicy, wszystko.

Obudziłam się spocona, z sercem walącym o żebra. Zakłęłam, siadając na łóżku. Z dużego pokoju dobiegał szum telewizora, w którym skończył się program – mój ojciec znów zasnął przed ekranem. Wstałam i nie zapalając światła, po omacku poszłam



do kuchni, gdzie nalałam sobie do szklanki resztkę przegotowanej wody z czajnika. Przez okno wpadało światło księżycy, wysrebrzając uchwyty szafek i wiszące nad kuchenką gazową patelnie, w powietrzu unosiła się wyraźna już woń alkoholu – nie piwa, jak wcześniej, tylko wódki. Wiedziałam, że gdybym weszła teraz do dużego pokoju, znalazłabym opróżnioną do połowy butelkę schowaną za fotelem i ojca śpiącego niespokojnie z odchyłoną do tyłu głową. Zanim przeszedł na emeryturę, był taksówkarzem i wciąż znał wszystkie miejsca, gdzie kupowało się alkohol, od eleganckich restauracji aż po meliny, do których można było zajechać o trzeciej w nocy, zastukać w szybę i za odliczoną gotówkę dostać flaszkę samogonu.

Wróciłam do pokoju, zapaliłam kolejnego papierosa i wydmuchując dym prosto w pyzată tarczę księżycy, myślałam o tamtym lipcowym dniu, gdy dostaliśmy telegram z Zakopanego.

Były wakacje, a ja wstałam późno, bo prawie do rana czytałam książkę – nie pamiętałam już jaką, choć chciałabym sobie przypomnieć, biorąc pod uwagę, że przywykłam uważać tamte godziny za ostatnie chwile mojego dzieciństwa. W piżamie, wciąż rozespana, weszłam do kuchni i zastałam matkę siedzącą na krześle przy piecu z miną, której nie umiałam zinterpretować. A może zwyczajnie mnie to wtedy nie obchodziło, bo myślałam już o śniadaniu i planowanej wyprawie do kina.

W rękę trzymała coś, co w pierwszej chwili wzięłam za pocztówkę.

– Romek napisał? – zapytałam, sięgając do lodówki po masło.

Pokręciła głową. Chwilę później do kuchni wszedł ojciec, a ona bez słowa podała mu trzymaną w dłoni kartkę. Wreszcie coś mnie zaniepokoiło w ich milczeniu, podeszłam więc i spojrzałam mojej matce przez ramię.

To nie była pocztówka, tylko telegram, zawierający dokładnie cztery zdania.

*Doszło do wypadku. Żanetka, Bartek i Kazia nie żyją. Romek zaginął, trwają poszukiwania. Będę czekał na dworcu w Zakopanem.*

– Jak to zaginął? – zapytałam wysokim głosem, w którym nie było jeszcze niepokoju, tylko czyste zdziwienie. – Nie rozumiem. Wszystko z nim w porządku, prawda? Mamo, powiedz, że wszystko z nim w porządku!

Jeśli czegoś się w moim życiu wstydzę, to właśnie tamtej chwili, gdy zachowałam się tak głupio, tak dziecinnie. Jakbym miała osiem lat, a nie osiemnaście. Jeszcze dziś na wspomnienie tej rozmowy palą mnie policzki.

Matka odwróciła się i przytuliła mnie gestem, w którym nie było prawdziwej czułości. Myślami była gdzieś daleko, pewnie już w Zakopanem.

– Oczywiście, że wszystko z nim w porządku. Ale i tak musimy tam pojechać.

Wiedziałam, kiedy kłamie, mam wrażenie, że sporo dzieci umie to rozpoznać u rodziców, tak jak rodzice bezbłędnie rozpoznają, kiedy łąą ich pociechy – i dopiero teraz naprawdę się przeraziłam.

Spakowaliśmy się i taksówką taty pojechaliśmy na dworzec, gdzie spędziliśmy pół godziny w oczekiwaniu na najbliższy pociąg do Zakopanego. A potem w tłumie podekscytowanych urlopem wczasowiczów wsiedliśmy do wagonu. Pamiętam gorąco rozgrzanych siedzeń, otwarte okna, przez które wpadał soczysty, świeży zapach mijanych łąk i lasów, butelkę coraz cieplejszej

oranżady, którą ściszałam w dłoniach, i dwójkę dzieci dla zabicia czasu grających w zagadki.

Ojciec próbował zachować dobry humor, od czasu do czasu więc powtarzał: „Wszystko będzie dobrze, zobaczycie. Pewnie już go znaleźli. Znam takie przypadki. Na przykład syn mojego kolegi...”. Potem następowała długa, skomplikowana anegdotka o chłopaku, który zgubił się w górach, wszyscy odchodzili od zmysłów, a on znalazł się w schronisku, spokojnie popijający herbatę. Chciałam, żeby już przestał. Mama patrzyła w okno pustymi oczami, jej usta poruszały się i choć nie byłam w stanie rozpoznać słów, wiedziałam, że to modlitwa. Tamtego dnia przekonałam się, jak okrutnie brzmi określenie „zaginął”, gdzieś w pół drogi między nadzieją a krańcową rozpaczą. Czułam się, jakby los całej naszej rodziny zależał od rzutu monetą.

Awers: wysiadamy z pociągu, a Jacek Kotulak biegnie w naszą stronę z rozradowaną miną. „Znaleźli go, jest cały i zdrowy!”, krzyczy.

Rewers: wysiadamy, a Jacek podchodzi do nas powoli, nie patrząc w oczy. „Tak mi przykro”, mamrocze. „Właśnie odnaleziono ciało. Na szczęście nie cierpiało”.

Każdą z tych scen widziałam tak wyraźnie, jakby już się zdarzyła: wyraz twarzy Jacka, ton głosu, nasze odpowiedzi, słońce kładące się drżącymi jasnymi plamami na peronie. Co dziwne, nie pomyślałam nigdy, że sytuacja może się nie zmienić, że gdy dotrzemy na miejsce, los Romka wciąż będzie nieznany. Nie brałam także pod uwagę tego, że odnalezienie mojego brata całego i zdrowego wcale nie będzie oznaczało szczęśliwego zakończenia. Zginęli przecież jego narzeczona i dwójka najbliższych przyjaciół. Lubiłam Żanetkę, Bartka i Kazię, lecz w ciągu tych kilku godzin, gdy zmierzaliśmy w stronę Zakopanego, nawet nie

pomyślałam o bólu, jaki muszą przeżywać ich rodziny. Byłam egoistyczna, tak jak potrafią być tylko dzieci, i wierzyłam, że jeśli tylko Romek się odnajdzie, wszystko będzie w porządku.

W Zakopanem stchórzyłam i najchętniej zostałabym w wagonie, ale tłum podróżnych popchnął mnie do wyjścia. Wraz z ludzką falą wylaliśmy się na peron, ktoś nastąpił mi na stopę, rzucił „przepraszam” i popędził dalej. Moja mama oberwała w twarz kubkiem przypiętym do plecaka – następnego dnia, z opuchniętym okiem, wyglądała jak ofiara pobicia, jednak gdy wysiadaliśmy z pociągu, nawet się nie skrzywiła. Czekaliśmy, było mi niedobrze, a charakterystyczny ucisk w brzuchu zapowiadał, że lada moment mogę dostać biegunki. Zastanawiałam się nawet, czy nie pobiec szybko do toalety, która gdzieś tu przecież musiała być, kiedy w naszą stronę przepchnął się Jacek Kotulak, blady, z wielkim sińcem rozlewającym się na lewej skroni.

– Jeszcze nic nie wiadomo – oznajmił, zanim zdążyliśmy się przywitać albo zadać jakiegokolwiek pytanie. – Wciąż go szukają.

Byłam mu wdzięczna za skrócenie naszej udręki o tych kilka cennych sekund – nawet jeśli wiadomość nie okazała się najlepsza, to przynajmniej nie była też najgorsza. Chwilę później zrozumiałam też, że Jacek musiał wychodzić na każdy pociąg przyjeżdżający z Katowic, bo przecież nie wiedział, którym przyjedziemy – i za to też poczułam wdzięczność.

Nigdy nie przepadałam za Jackiem, ale tamtego dnia odkryłam niespodziewanie, że potrafię go lubić. Był ogniwoem łączącym mnie z bratem, który cierpiał gdzieś w górach, czekając na ratunek. To Jacek widział go jako ostatni i jego wiedza mogła pomóc w poszukiwaniach.

Lubiłam go aż do chwili, gdy zrozumiałam, że kłamie.